

Ryszard M. Machnikowski: (Nie)porządek europejski – jego aktualne oblicze i perspektywy

Można nie słuchać kasandrycznych wypowiedzi europejskich polityków od lewej do prawej strony politycznego spektrum, nie czytać wywiadów z europejskimi generałami oraz fatalistycznych analiz europejskich dziennikarzy licząc na to, że bieg dziejów potoczy się tak jak zawsze, czyli wbrew przewidywaniom większości – pisze Ryszard M. Machnikowski w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Co my (w) NATO?”.

Widoczna coraz bardziej otwarcie transformacja porządku europejskiego jest składową szerszego procesu dekompozycji światowego układu sił, widocznego co najmniej od końca pierwszej dekady XXI wieku. Ten nasilający się globalny nieład, w oczywisty sposób rzutujący na rosnący europejski nieporządek, jest dość oczywistą konsekwencją gospodarczych i geostrategicznych zmian zachodzących w świecie w związku ze spadającą rolą i znaczeniem USA na arenie międzynarodowej oraz rosnącymi ambicjami i pozycją Chin. O ile dokładny bieg przyszłych wydarzeń jest trudny do przewidzenia, o tyle coraz bardziej widoczne trendy geostrategiczne nie powinny być zaskoczeniem dla baczących obserwatorów spraw światowych.

Należy zatem zarysować ów szerszy, globalny kontekst światowych zmian, by przejść do komentarza na temat europejskiego bezładu.

Po pierwsze, jesteśmy świadkami przyśpieszającego schyłku *Pax Americana*, ustanowionego w latach 1990–1991, czyli po zakończeniu Pierwszej Zimnej Wojny. Dziś pytanie nie brzmi już czy będzie on zastąpiony inną formą relacji globalnych, ale jedynie, kiedy i w jakich okolicznościach to nastąpi. Na te pytania dadzą zresztą odpowiedź sami Amerykanie, którzy zdecydują, czy dojdzie do tego już po tegorocznych amerykańskich wyborach, czy też agonía amerykańskiej światowej supremacji będzie miała jeszcze szansę trwać kolejną dekadę. Obecnie nie tylko sojusz przeciwników Ameryki coraz śmieiej, co zrozumiałe, narusza amerykańskie interesy, czynią to też całkiem otwarcie niegdysiejsi bliscy sojusznicy USA, w tym także ci, których bezpieczeństwo zależało kiedyś w głównej mierze od amerykańskiego wsparcia. Koronnymi przykładami są tu Arabia Saudyjska, ZEA oraz Izrael.

Szczególnie intrygujący jest ten ostatni przypadek. Rząd premiera Netaniahu całkiem otwarcie lekceważy napomnienia płynące z Waszyngtonu, realizując wyłącznie interesy Państwa Izrael, gdyż sądzi, że historia podarowała mu szansę na poważne osłabienie nie tylko śmiertelnego zagrożenia na południu (w postaci Hamasu), ale również i na północy (w postaci Hezbollahu), czyli dwóch irańskich *proxies*. Bliskowschodnie jaskółki śpiewają ponoć już całkiem otwarcie, że po zakończeniu militarnej interwencji w Strefie Gazy Cahal dokona podobnej interwencji w południowym Libanie, na obszarach rządzonych przez Hezbollah, czyniąc to wbrew przestrogom płynącym ze strony administracji prezydenta Bidena, która sobie tego nie życzy. Kandydat na prezydenta Biden może bowiem ostatecznie utracić swój propalestyński i proarabski elektorat, który w dniu wyborów zostanie w domach.

Oslabienie światowej pozycji USA odnotowywane jest także na Dalekim Wschodzie, gdzie budzi to poważny niepokój. Świadczą o tym programy forsownych zbrojeń przyjęte przez bliskich sojuszników Ameryki w tamtym regionie, czyli Japonię i Australię. Kraje te najwyraźniej poważnie liczą się z tym, że USA przestaną być gwarantem także ich bezpieczeństwa i będą musiały zadbać o nie same. Te państwa mają jednak szansę na przetrwanie fazy ostatecznego załamania się „postzimnowojennego porządku światowego”, w przeciwieństwie do Tajwanu, który będzie pierwszą ofiarą zaniku amerykańskiej potęgi w tym regionie. Kiedy i w jakich okolicznościach ta ofiara zostanie złożona, jest jednak nadal wielką niewiadomą.

Także w Europie przywódcy największych państw wydają się już w pełni rozumieć, że niezależnie od efektów amerykańskich wyborów, USA przestaną być głównym „security provider” na swym kontynencie, którą to rolę pełniły nieustannie od 1945 r. Ani prezydent Trump ze swoim hasłem MAGA, ani prezydent Biden, mogą nie dysponować już wystarczającą siłą, którą można będzie wykorzystać w chwili próby. Nie jest to zresztą spowodowane utratą przez USA zdolności militarnych – amerykańskie wojsko wciąż jest dziś niemającą sobie równych w skutecznym prowadzeniu wojen, najpotężniejszą siłą bojową na naszej planecie. Wynikałoby to bardziej z rosnącej wewnętrznej społecznej niespójności Ameryki i gwałtownie rosnących kosztów podtrzymywania amerykańskiej supremacji. Narastająca wewnętrzna polaryzacja, zarówno ideologiczna, jak i ekonomiczna, jest dziś główną wewnętrzną przeszkodą dla supremacji USA i przyczyną przyszłych niepowodzeń tego państwa na arenie międzynarodowej. Amerykańskie elity rządzące przypominają nieco te brytyjskie z lat 1933–1938, wciąż wierząc, że to ich kraj jest jedynym globalnym supermocarstwem i nie dostrzegając nadciągającej katastrofy.

Zmiana globalnego układu sił, zachodząca coraz gwałtowniej na świecie, może (choć wcale nie musi) skutkować kolejnym wojennym epizodem w Europie. Tym razem jednak nie dlatego, że na tym kontynencie znajdują się obecnie centra światowej władzy, tylko dlatego, że tam można będzie ją stoczyć „w zastępstwie”, z dala od własnych rubieży. Taką amerykańsko – chińską „war by proxy” (pierwszą, ale z pewnością nie ostatnią „gorącą” wojną Drugiej Zimnej Wojny, tym razem USA – Chiny) jest przecież konflikt rosyjsko – ukraiński (nieco przypominający konflikt koreański z lat 1950 – 1953). Jak od niedawna gromka wieść niesie od Waszyngtonu przez Londyn, Paryż, Berlin, Sztokholm, Helsinki aż po Warszawę i Tallin, może on rozlać się dalej na zachód. Aby temu zapobiec, życzeniem klasy politycznej, zarówno na Zachodzie, jak i daleko na Wschodzie, jest jego choćby czasowe zakończenie (na wzór konfliktu koreańskiego, zamrożonego skutecznie na kolejnych sześć dekad). Gdy popatrzymy dziś na to, co amerykańscy i europejscy politycy robią (a nie na to, co mówią), dostrzeżemy wyraźnie, że życzą sobie, by strona ukraińska ostatecznie sfinalizowała rozmowy „pokojuwe” z Rosją, toczone dyskretnie w Turcji i ZEA. To samo sygnalizują coraz mocniej swoim rosyjskim sojusznikom Chiny. Kiedy ta obopólna presja odniesie zamierzony skutek, jeszcze nie wiadomo; niemniej jednak trudno nie zauważyć, że materialna sytuacja strony ukraińskiej nie pozwala jej na znaczące przedłużenie konfliktu. Można się zatem spodziewać, że do jakiejś formy jego „zamrożenia” powinno dojść najdalej w przyszłym roku. Jaką cenę terytorialną za „zawieszenie broni” przyjdzie zapłacić Ukraińcom, dowiemy się zapewne latem, gdy działania zbrojne zostaną zaktywizowane i będziemy znali ich ostateczne skutki. Być może dowiemy się też, które kraje NATO (i dlatego Polska) wyślą na Ukrainę swoje wojska w ramach „kontyngentu sił pokojowych”, nadzorującego zawieszenie broni.

Dalszy scenariusz, szeroko dziś przedstawiany Europejczykom przez zachodnioeuropejskich polityków, generałów i dziennikarzy jest względnie jednolity – Rosja odbuduje swój potencjał i za 3 do 8 lat zaatakuje („przetestuje”, jak brzmi bardziej eleganckie określenie) NATO w którymś z krajów nadbałtyckich. Prezentowane scenariusze mówią o szybkim zajęciu przez wojska rosyjskie krajów nadbałtyckich, być może wraz z przesmykiem suwalskim, by połączyć obwód kaliningradzki z resztą „macierzy”. Strategicznie taki rosyjski zamiar jest względnie zrozumiały – poprzez wstąpienie Szwecji i Finlandii do NATO, Bałtyk stał się „natowskim jeziorem”, co spycha pozycję Rosji w tym regionie do granic z czasów istnienia I Rzeczypospolitej w swoim rozkwicie. Aby zawrócić tę niekorzystną dla niej tendencję, Rosja może chcieć wydłużyć swoją linię brzegową na Bałtyku, wchłaniając kraje nadbałtyckie, co znakomicie spaja się z putinowską ideą odbudowy, jeszcze za jego życia, Związku Sowieckiego w jego granicach.

Co niezwykle intrygujące, już na 3-8 lat przed ewentualnym wybuchem tego konfliktu (który nie jest przecież nieuchronny), europejscy politycy, generałowie i dziennikarze dość otwarcie przesądzają o jego wyniku (sic!). Biorąc pod uwagę sugerowany horyzont czasowy, państwa europejskie mają wystarczający czas, aby na tyle wzmocnić obronę bałtyckich członków NATO i UE, by skutecznie osiągnąć efekt odstraszenia. Kluczowym jest tu oczywiście pytanie, który z europejskich krajów (poza być może Francją), zechciałby wysłać znaczący kontyngent swoich wojsk na „pribałtycką flankę” NATO, by stanowiły one ową *force de frappe*. Być może tym ważnym zadaniem obarczone zostaną polskie siły zbrojne, wspierane przez armie skandynawskich członków NATO, gdyż kraje te są rzeczywiście żywotnie zainteresowane utrzymaniem obecnego status quo w regionie

Morza Bałtyckiego. Należy bowiem spodziewać się, że plan utworzenia autonomicznych „europejskich sił zbrojnych” podzieli losy EWO powstałej na mocy Traktatu Paryskiego z 27 maja 1952r.

Jednak nieuchronnie jakoby nadciągająca nad Środkową Europę wojna z Rosją nie jest jedynym kontynentalnym problemem. Nad Europą wisi drugi, po kremlowskim, miecz Damoklesa w postaci oczekiwanej wzmożonej imigracji z południa, przy czym niektórzy komentatorzy wspominają, że liczba chętnych do przedostania się do Festung Europa może przewyższyć tę z kryzysu lat 2015-2017 nawet dziesięciokrotnie. Realistycznych pomysłów na zaradzenie temu problemowi na razie nie widać, podobnie jak znaczącego europejskiego zaangażowania w pilne rozwiązywanie problemów kontynentu afrykańskiego, by przez poprawę perspektyw jego ludności na miejscu skłonić ją do pozostania. Można zatem oczekiwać, że presja imigracyjna na kontynent europejski będzie wciąż narastać, choć kiedy nastąpi jej apogeum trudno obecnie określić.

Jakby tego było mało, kolejnym problemem, tym razem stricte wewnętrznym, są społeczne konsekwencje próby forsownego realizowania unijnej „zielonej utopii”, czyli uczynienia z europejskiego kontynentu rolniczego skansenu i skłonienia jego mieszkańców do stania się wegetarianami i masowej przesiadki na rowery (gdyż sprzedaż pojazdów elektrycznych zasilaby, jak dziś już wiemy, budżet firm chińskich, a nie, jak planowano, niemieckich), by uratować świat przed nadciągającą katastrofą klimatyczną. Trzeba jednak zauważyć, że pomysł ostatecznej utraty samowystarczalności żywieniowej przez Europę jest, delikatnie mówiąc „strategicznie nieroztropny”, gdyż żadna z europejskich marynarek wojennych nie jest w stanie zabezpieczyć atlantyckich szlaków wodnych, którymi napływać

mogłaby żywność z obu Ameryk (a nie ma pewności, czy *US Navy* będzie w stanie tego dokonać w obliczu potencjalnego dużego konfliktu zbrojnego na Pacyfiku), natomiast Rosja z łatwością w każdej niemal chwili będzie mogła podjąć próbę zablokowania szlaków prowadzących ze Wschodu. Ponadto, nie tylko europejscy farmerzy nie za bardzo rozumieją taką potrzebę, tkwiąc mentalnie w miazmatach starej epoki (sprzed czasów realizacji ambitnych „celów klimatycznych”) i oczekując od swoich władz przynajmniej powstrzymania gwałtowej pauperyzacji europejskiej klasy średniej, najpoważniej dotkniętej inflacją. Grozi to nasileniem wewnętrznego konfliktu społecznego i kontynuacją prób jego rozstrzygnięcia metodą „kryterium ulicznego”. Gdyby rozgniewanego ludu wkraczającego coraz częściej na ulice europejskich metropolii nie udało się spacyfikować metodami policyjnymi, może się to dla europejskich elit rządzących skończyć nader nieprzyjemnie – w najlepszym razie ich wymianą drogą wyborczą na takie, które bardziej wsłuchują się w głos i niepokoje ludu (zwane potocznie „populistami”), a w najgorszym wywożeniem europejskich elit z unijnych budynków na taczkach wypełnionych gnojówką. Istotnym papierkiem lakmusowym obecnych nastrojów społecznych w tej kwestii będą wyniki nadchodzących wyborów europejskich, które choć w części wskażą, jaki jest obecnie rozkład poparcia dla sił politycznych w Europie.

Europejska klasa polityczna próbuje bohatercko rozwiązać problemy, które w znacznej części sama stworzyła, czego przykłady znamy z historii najnowszej. Domniemanym panaceum na rozliczne kontynentalne bolączki ma być wg. eurokratów „centralizacja Europy”, czyli obarczenie unijnej Centrali zadaniem zarządzania i rozwiązywania licznych problemów aż 27 państw, zamieszkałych przez niespełna pół miliarda ludzi na obszarze od Lizbony po Białystok. Ma się to dziać z pominięciem woli lokalnych ośrodków władzy, które mają być zamienione w „pas transmisyjny” decyzji i dyrektyw „Brukseli”.

Należy bardzo mocno wątpić, by zarządzanie w ten sposób stworzonym „imperium”, które stawia sobie zadanie „stawienie czoła konkurencji ze strony USA i państw grupy BRICS” jest w ogóle możliwe do zrealizowania poprzez próbę narzucenia biurokratycznej kontroli tak różnym organizmom państwowym o różnych, często rozbieżnych interesach i kulturze.

Hasło „więcej Europy” mocno przypomina gorbaczowowskie hasło „więcej socjalizmu”, którego realizacja miała powstrzymać upadek sowieckiego molocha. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ta historyczna analogia może mieć analogiczny ciąg dalszy i skutkować kolejnymi „exitami” państw ze „stale kurczącej się” Unii, aż do czasów podpisania odpowiednika porozumienia białowieskiego, które przypieczętowało rozpad ZSRR (z możliwym wcześniejszym kryterium ulicznym w Brukseli na wzór tego pod moskiewskim Białym Domem z sierpnia 1991 r., jeśli stopień odklejenia się europejskich „elit” od rzeczywistych potrzeb współczesnych Europejczyków osiągnie taki poziom, jaki osiągnęły sowieckie elity u schyłku istnienia tamtego „superpaństwa”).

Jak widać coraz bardziej wyraźnie, przyszłość Europy prezentuje się w wyjątkowo ciemnych barwach. Grozi jej pozostawienie przez dawnego amerykańskiego sojusznika na pastwę rosyjskiego ataku zbrojnego, co spowoduje niechybny rozpad NATO. Na terytorium rozpadającej się Unii, miejsce narastających zamieszek ulicznych, napłyną dziesiątki milionów imigrantów z państw „globalnego południa”. Dalsze scenariusze należy pozostawić scenarzystom rozlicznych platform *streamingowych*, kręcących kolejne dystopijne seriale z gatunku *political fiction*. Można jednak nie słuchać kasandrycznych wypowiedzi europejskich polityków od lewej do prawej strony politycznego

spektrum, nie czytać wywiadów z europejskimi generałami oraz fatalistycznych analiz europejskich dziennikarzy licząc na to, że bieg dziejów potoczy się tak jak zawsze, czyli wbrew przewidywaniom większości. Nie gwarantuje to oczywiście, że będzie on „lepszy”, cokolwiek to miałyby znaczyć, ale przynajmniej to, że potoczy się w mniej dziś przewidywanym kierunku.

Ryszard M. Machnikowski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
